

PODRÓŻE

W CIENIU

ESKULAPA

Piotr WILAND

TERMEDIA

PODRÓŻE
W CIENIU ESKULAPA



Piotr Wiland

PODRÓŻE W CIENIU ESKULAPA

Piotr Wiland

© Copyright by Piotr Wiland, Poznań 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Termedia Wydawnictwa Medyczne

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

tel./faks +48 61 822 77 81

e-mail: termedia@termedia.pl

<http://www.termedia.pl>

Termedia Wydawnictwa Medyczne

Poznań 2020

Wydanie I

Skład i łamanie: studio graficzne TERMEDIA

ISBN: 978-83-7988-320-2

Jeśli chcesz się dowiedzieć więcej o innych miejscach odwiedzonych i opisanych przez Piotra Wilanda, wejdź na stronę:

<http://piotrwiland.pl/>

SPIS TREŚCI

Rozdział 1	
Pan Cogito rozmyśla o cierpieniu	5
Rozdział 2	
Księża z San Michele – życie na Capri Axela Munthego	23
Rozdział 3	
Wędrowki po Lizbonie z pierwszym portugalskim noblistą	39
Rozdział 4	
Czy Lizbona mogłaby być Miastem Ślepców? Saramago, Nobel i fado	55
Rozdział 5	
Indie: azjatyckie lwy w krainie wegetarian	69
Rozdział 6	
Śladami Mahatmy Gandhiego	87
Rozdział 7	
Na Fidzi <i>kava</i> wcale nie jest kawą	108
Rozdział 8	
Biały Doktor w dżungli. Misja Lambarene	125
Rozdział 9	
Podróż przez rozmodloną Etiopię	144
Rozdział 10	
Popijając <i>yerba mate</i> w paragwajskich misjach jezuickich	173

Książkę tę dedykuję mojej żonie Grażynie

Rozdział 1

PAN COGITO ROZMYŚLA O CIERPIENIU



Pewnego dnia chciałem uporządkować książki, które zostały po moich Rodzicach. Przeglądając je, znalazłem na półkach małą, cienką książeczkę *Epilog burzy* Zbigniewa Herberta. To był ostatni, dziewiąty tom jego wierszy pisany w ostatnich latach jego życia. Coraz bardziej odczuwał wówczas niedomogi swojego ducha i ciała. Zbiór został wydany przez Wydawnictwo Dolnośląskie w maju 1998 r., na trzy miesiące przed śmiercią poety.

Dla mnie ta książka była tym cenniejsza, gdyż znalazły się tam dedykacje trojga wnuków dla ich Najukochańszej Babc. Była to znamienna i trafiona dedykacja, gdyż pierwszy wiersz tego cienkiego tomu nosił tytuł *Babcia*. Herbert poświęcił go własnym wspomnieniom o swojej babci, Marii z Bałabanów.

Tuż po wierszu *Babcia* w zbiorze został umieszczony wiersz *Brewiarz*. To wyznanie poety do Boga ubrane zostało w liryczny kształt przedmiotów jego niemal codziennych udręk ostatnich lat życia.

Panie, dzięki Ci składam za strzykawki z igłą grubą i cienką
jak
włos, bandaże, wszelki przylepiec, pokorny kompres, dzięki
za kroplówkę, sole mineralne, wenflony, a nade wszystko
za pigułki na sen o nazwach jak rzymskie nimfy,
które są dobre, bo proszą, przypominają, zastępują
śmierć.



Zbigniew Herbert

Zbiór wierszy Zbigniewa Herberta *Pan Cogito* został opublikowany po raz pierwszy w 1974 r. Stał się wtedy drogowskazem i przesłaniem *Bądź wierny idź* dla tych wszystkich, których nie zadowalała mała stabilizacja za czasów Edwarda Gierka. W tym zbiorze wierszy znalazł się również utwór *Pan Cogito rozmyśla o cierpieniu*. Stał się on dla mnie inspiracją do spisania refleksji w szczególności jak Herbert traktuje trapiące go niedomagania zarówno ducha, jak i ciała.

Poeta – wedle słów jego przyjaciela i jednocześnie lekarza Jerzego Siwca: [...] *niczym się nie różnił w tym, co pisał, od tego jaki był. Tam jest dokładna transmisja. Nie ma tam żadnego udawania. Jeżeli uważniej czyta się te wiersze, to można znaleźć wszystko...*

OKRES DORASTANIA W CIENIU WOJNY I „ŁOBUZÓW OD HISTORII”

Zbigniew Herbert urodził się we Lwowie w 1924 r. Kilkanaście lat później był naocznym świadkiem kapitulacji Lwowa przed Armią Czerwoną, a także wkroczenia agresorów spod znaku swastyki w czerwcu 1941 r. Za czasów okupacji niemieckiej dla uzyskania



mocnych papierów, chroniących przed wywózką na roboty do Rzeszy, zadekował się w latach 1943 i 1944 w wielce elitarnym salonie. Był nim tzw. wszawy salon mieszczący się w Instytucie Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami profesora Rudolfa Weigla. Ta instytucja była bardzo ważna dla Niemców, gdyż zajmowała się produkcją szczepionki przeciwtyfusowej. Wszyscy w nim zatrudnieni, oprócz mocnych papierów, czyli legitymacji z niemiecką „wroną”, otrzymywali też dodatkowe kartki żywnościowe. Ci, którzy karmili zdrowe wszy, tak jak Herbert, dostawali mniejsze przydziały, a karmiący wszy zakażone – znacznie większe. Znalazł się wtedy w doborowym towarzystwie; przychodzili tu choćby genialny matematyk Stefan Banach czy Andrzej Szczepkowski; wśród karmicieli wszy byli również m.in. szkolny kolega poety Zdzisław Ruziewicz czy jego siostra. Według Herberta mogło mieć to jakiś wpływ na jego zdrowie. Po niemal 10 latach pisał w liście do swego mistrza, profesora Elzenberga, że był ostatnio *bardzo wyczerpany odezwała się nabyta w czasie wojny taka głupia tyfusowa gorączka*.

Czas wojny pojawia się też wiele razy w twórczości Herberta, w tym również w strofie *Pana od przyrody*, który opublikował w drugim tomie swych wierszy *Hermes, pies i gwiazda*:

W drugim roku wojny
zabili pana od przyrody
łobuzy od historii.

To był trudny okres dla całej rodziny Herbertów. Pewnego wrześniowego dnia 1943 r. jego młodszy 12-letni brat Janusz zaczął odczuwać silne bóle brzucha. Matka, Maria Herbert z domu Kaniak, natychmiast poprosiła o poradę lekarską swego brata, Józefa Kaniaka. Januszek ostatecznie trafił do szpitala z objawami zapalenia otrzewnej na tle pęknięcia wyrostka robaczkowego i pomimo przeprowadzenia zabiegu chirurgicznego zmarł.

Tuż po wojnie losy rodziny układają się rozmaicie. Rodzina Zbigniewa wraz z nim samym opuszcza Lwów jeszcze przed ponow-



nym wkroczeniem tam Armii Czerwonej i dociera do Krakowa. Wuj Zbigniewa, Józef Kaniak (1909–1984), wyjeżdża do Wrocławia, gdzie zaczyna się pięć po kolejnych szczeblach kariery zawodowej. W 1950 r. zostaje kierownikiem Chorób Zakaźnych, piastuje również stanowisko dziekana Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej we Wrocławiu; od 1970 r. był kierownikiem Kliniki Angiologii. Ale nie ma śladów, aby utrzymywali między sobą bliskie kontakty. Niebagatelną rolę mogły w tym odgrywać ich różne postawy wobec panującego ustroju.

To nie był jedyny lekarz w rodzinie. Studia lekarskie wybrała też siostra Zbigniewa, Halina, która została pediatrą. *Nie mam innego przyjaciela poza Tobą* – pisał Zbigniew Herbert w liście do siostry. W częstej korespondencji, jaką z nią prowadził, nazywał ją pieszczotliwie Pifcią, a ona odpisywała mu: *Kochany braciszku Beniu*. Przeżyła swego brata o niemal 20 lat i zmarła, w wieku 94 lat, w 2017 r.

PIERWSZE LATA POWOJENNE, GDY „RETORYKA BYŁA AŻ NAZBYT PARCIANA”

Niedługo po zakończeniu wojny Herbert zaczął studiować w Krakowie, następnie studia prawnicze kontynuował na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, gdzie w 1949 r. uzyskał tytuł magistra prawa. Zmieniał wtedy często miejsce zamieszkania. Z Krakowa przeniósł się do Torunia, potem do Sopotu, aby ostatecznie od 1951 r. związać swe losy z Warszawą. Pierwsze próby wejścia w świat literatury nie były łatwe. Opublikował w niektórych pismach funkcjonujących na marginesie życia literackiego trochę recenzji teatralnych czy wystaw plastycznych. Nie zdecydował się na wejście w maszyny realizmu socjalistycznego i zrezygnował z członkostwa w Związku Literatów Polskich. Pisze o tym w wierszu „Potęga smaku”, stwierdzając, że w tym ustroju *retoryka była aż nazbyt parciana*. Stąd *księżęta naszych zmysłów wybrały dumne wygnanie*, którym okazało się być dla Herberta biurko kalkulatora-chronometrażysty w Spółdzielni Emerytów Nauczycieli



„Wspólna Sprawa” czy starszego asystenta w Centralnym Biurze Studiów i Projektów Przemysłu Torfowego „Torfprojekt”. W początku lat 50., chcąc wzbogacić swoją bardzo skromną dietę w bardziej kaloryczne produkty żywnościowe, okresowo oddaje krew, co określa jako „handlowanie posoką”.

Odwiłz polityczna 1956 r. i koniec epoki socrealizmu odmienia też i jego życie. Debiutuje w tym czasie pierwszym tomem poezji *Struna światła*, gdzie znalazły się wiersze pisane do tej pory jedynie do szuflady. Zaczyna też coraz częściej wyjeżdżać za granicę. Trudno mu było przywyknąć do coraz bardziej dusznej atmosfery PRL-u czasów Gomułki. Kiedy tylko może otrzymać po raz kolejny paszport, wyjeżdża na wiele miesięcy i lat do Francji, Anglii czy Niemiec. Ale szczególnie przyciągały go kraje śródziemnomorskie, takie jak Włochy czy Grecja.

PRÓBA OPISANIA KRAJOBRAZU GRECKIEGO

Polski krajobraz czy sytuacja polityczna w latach 60. lub 70. XX wieku pozwalał jedynie nielicznym obywatelom zamieszkującym pomiędzy Odrą a Bugiem na odwiedzenie ojczyzny Peryklesa. Jesteśmy już przyzwyczajeni do posiadania paszportu w szufladzie, a od 2004 r. wyłącznie dowodu osobistego potrzebnego do przekraczania granic. Trudno sobie to zatem wyobrazić. Obecnie wystarczy, iż w piątek wieczorem bez żadnych przygotowań wsiądziemy do samolotu, aby po dwóch godzinach rozpocząć swój weekend czy tydzień w Atenach. W tym innym świecie lat 60. ubiegłego wieku, gdzie racjonowano obywatelom krajów socjalistycznych dostęp do cywilizowanego świata, ci nieliczni wybrańcy mogli się czuć niemal jak bogowie na Olimpie. Wśród tych szczęściarzy był również Zbigniew Herbert. Władze chętnie by go widziały wśród tych, którzy zostaliby na obczyźnie na stałe. Ale jego nie kusił los pisarza emigranta.

To poczucie niebiańskiego spokoju miałem również i ja, kiedy po zdaniu egzaminów na V rok Wydziału Lekarskiego w 14 lat



*„...niepodobna wykroić z tego splątania błękitu, gór,
wody, powietrza i światła żadnego widoku i powiedzieć –
to jest Grecja” – Zbigniew Herbert*

później, w 1978 r., otrzymałem paszport ważny na wszystkie kraje świata. Chciałem go wykorzystać w pełni i na tyle, na ile można było przeżyć za posiadane sto czy dwieście dolarów amerykańskich. W tych czasach przygotowania do wyjazdu do takich egzotycznych krajów, jak Grecja, wymagały wyjątkowych starań. Miałem podobne doświadczenia jak wcześniej Zbigniew Herbert, który w liście do Wierzyńskiego skarżył się: *jestem posiadaczem ludowego paszportu, to znaczy nie mogę pójść na dworzec i kupić po prostu bilet do Rzymu i jechać. Na wizę do każdego kraju muszę czekać około dwóch miesięcy, a przy tym mieć formalne zaproszenie z klauzulą, że osoba zapraszająca pokrywa koszty utrzymania.* Pobyt w Grecji Herbert miał spędzić ze swoimi londyńskimi znajomymi Magdą i Zbyszkiem Czajkowskimi.

Poeta, płynąc na statku „Carina”, zapisuje w swoich notatkach ten szczególny stan napięcia i oczekiwania: *stan morza: spokój jeziora, stan ducha potęgujący (się) w miarę zbliżania się do Grecji strach. Nie*



radość, ale strach i wątpliwość, czy nie lepiej byłoby zostawić ten kawałek ziemi pod suwerenną władzą wyobraźni. Pierwszego widoku na grecką ziemię doświadcza z pokładu statku płynącego z Brindisi do Aten, co odnaleźć można tym razem na stronach książki *Labirynt nad morzem*:

Ale już rankiem, kiedy na horyzoncie zaczęły pojawiać się pierwsze wyspy, urwisty brzeg Peloponezu i wreszcie Zatoka Koryncka, zrozumiałem, że dane mi będzie poznać coś, czego nie zdołam porównać z niczym. Jest to krajobraz wymykający się opisowi przez samą swoją naturę. Niepodobna znaleźć miejsca, które byłoby choćby w przybliżeniu sumą, syntezą doznań wzrokowych podróżnika, niepodobna wykroić z tego splątania błękitu, gó, wody, powietrza i światła żadnego widoku i powiedzieć – to jest Grecja.

Dla mnie pierwsze spojrzenie na grecki krajobraz przypadło z bardziej przyziemnej perspektywy. Przekraczałem granicę lądową turecko-grecką z nadzieją, że odrobina szczęścia na autostopie pozwoli mi dojechać w ciągu kilku dni do Akropolu. Miałem ze sobą namiot, ciężki plecak obciążony jeszcze zapasami z Polski i plan, który zakładał, że za ileś tam dni stanę w Atenach. Nie pamiętam, czy wziąłem ze sobą kieszonkowe wydanie *Barbarzyńcy w ogrodzie*, pierwszego zbioru esejów Herberta wydanego w 1962 r. Ta książka, napisana przez poetę, który niemal dotykał i opisywał zabytki czy miejsca w krajach kultury śródziemnomorskiej, potrafiła choć po części zaspokoić moje pragnienia o tym lepszym i pełnym słońca życiu. Być może jednak nie zabrałem jej w podróż, obawiając się, że ten niemal biały kruk mogę gdzieś zagubić w czasie tej wyprawy w poszukiwaniu słońca. Nie było tam jeszcze nic o Grecji kontynentalnej czy greckich wyspach. Nie mogłem natomiast jeszcze posiadać przy sobie zbioru szkiców i esejów *Labirynt nad morzem*, który został wydany znacznie później, już po śmierci Herberta.

Moje spojrzenie na Grecję w tym czasie nie było skierowane na to, co w górze: na powietrze, na światło czy na góry. Moja perspektywa była perspektywą świata Hadesu, który nagle się otworzył i porwał na zawsze w swoje czeluście niczego niespodziewających się ludzi. Było to w kilka dni po drugim z kolei trzęsieniu ziemi, jakie objęło północną Grecję latem 1978 r. Pierwsze trzęsienie, o sile 6,4 w skali



*Mój namiot w Tesalonikach na tle
Białej Wieży, rok 1978*

Richtera, uderzyło 20 czerwca o godzinie 22.03. To było największe trzęsienie ziemi w tym regionie od 1932 r.; kolejne niemal równie mocne z siłą 5,1 w skali Richtera wystąpiło 5 lipca 1978 r. Stambuł, gdzie przebywałem przez poprzednie kilka dni, nie został dotknięty tym kataklizmem. Dopiero kiedy przekroczyłem granicę turecko-grecką i złapałem stopa, a następnie kolejnego stopa, zacząłem widzieć coraz więcej śladów trzęsienia. Było wiele zburzonych domów i rozłożonych namiotów polowych. Nieraz kierowcy zatrzymywali się i pokazywali mi szczeliny w ziemi.

Ostatecznie dojechałem do Tesalonik. Tam zniszczenia były znacznie większe. Pięćdziesiąt osób zginęło, a wiele tysięcy osób było bezdomnych. Szereg małych kościółków pamiętających bizantyjskie czasy uległo poważnemu uszkodzeniu. O zwiedzaniu czegokolwiek



*Mój belgijski przyjaciel przy swoim „brzydkim kaczątku”
próbuje uczyć się języka polskiego*

nie było co marzyć. Nie musiałem się kłopotać o brak miejsc w hotelach, bo były one całkowicie poza moimi możliwościami finansowymi. A ponadto mało który był otwarty dla turystów. Nie musiałem za to szukać jakiegos kempingu daleko poza miastem. Przez ten dzień jak i wiele następnych dni biwakowanie było dozwolone niemal wszędzie, na każdym trawniku, w tym również w pobliżu Białej Wieży. Mój jednoosobowy namiot rozłożyłem koło dużego wojskowego namiotu i nie musiałem się martwić o jakiegokolwiek pozwolenie. W pobliżu można było skorzystać z łazienek pod gołym niebem, zorganizowanych dla osób pozbawionych domu czy lękających się kolejnego, trzeciego, trzęsienia ziemi.

Następnego dnia ruszyłem dalej na południe. Stałem dość długo gdzieś w połowie drogi do Aten, w pobliżu zjazdu na wyspę Eubea, trzymając w ręku karton z napisem „Athens”. Droga była pozbawiona jakiegokolwiek cienia. I wtedy zatrzymał się czerwony, kultowy pojazd tych czasów z belgijską rejestracją, czyli citroen 2CV, zwany też brzyd-



kim kaczątkiem. Nie zdawałem sobie wtedy jeszcze sprawy, że spędzę z sympatyczną parą młodych Belgów następne kilkanaście dni, podróżując w ich blaszanej skrzynce na czterech kółkach. Dojechalśmy do Aten, a potem okazało się, że mamy podobne ramy czasowe i cele podróżnicze: Nafplion, Mykeny, Sparta, Mistra, a dalej Delfy, Kosowo, Dalmacja, aby rozstać się gdzieś tam na autostradzie w Austrii.

Zbyszek Herbert w swojej pierwszej greckiej podróży miał za towarzyszy podróży Magdę i Zbyszka Czajkowskich, ja zaś miałem swoich belgijskich znajomych. W Grecji bywałem jeszcze kilka razy, tym razem obowiązkowo z greckim diariuszem Herberta. Wtedy już odwiedzałem z lekturą jego zapisek miejsca kiedyś przez niego opisane. Ale najmocniejsze wrażenia i uczucia, zachwyty a czasem i rozczarowania powstają, gdy doświadczamy tego długo wyczekiwanego, pierwszego razu.

DEPRESJA I TWÓRCZOŚĆ HERBERTA

Do Polski Herbert wielokrotnie wraca, także dlatego że coraz częściej zaczyna odczuwać kłopoty ze zdrowiem. Zaczął być już wtedy – w czwartej dekadzie życia – coraz bardziej doświadczonym pacjentem. Wpierw były to sanatoria, a później coraz częściej przebywał w szpitalach. W liście do Kota-Jeleńskiego opisuje swoje wrażenia: *Dwa miesiące byłem w sanatorium, gdzie męczono mnie nieopisanie. Między innymi badano siodełko tureckie. Myślałem, że to jakaś nowa pozycja erotyczna (człowiek uczy się całe życie), ale okazało się, że to mieści się w tzw. sferze intelektualnej. Ze sferą intelektualną, tą arystokracją naszego ciała, miałem kłopoty, a teraz to już nawet widać na zdjęciu rentgenowskim.*

W sanatorium było bardzo wesoło. Piliśmy dużo wódki, którą w razie kontroli wlewaliśmy do flakonów z kwiatami i w ten sposób kwiaty były wiecznie zalane w drobny mak. Ostatki spędziłem na zabawie urządzonej przez Anatomię Patologiczną czyli Prosektorium. Kierowniczką tego przedsiębiorstwa miała do mnie wyraźne skłonności, co mnie trochę niepokoiło. Zabawa bardzo się udała. Bufet był oczywiście zimny, a ja śpiewałem ciao, ciao, bambino [Warszawa 1961, Zbigniew Herbert, Konstanty Jeleński, Korespondencja].



Pierwszego, bardzo silnego napadu depresji doznał Herbert w 1967 r. Wspomina o tym w *Wierszu do Henryka Elzenberga w stulecie jego urodzin*, pisząc, iż ten jego stan psychiczny był przyczyną jego nieobecności na pogrzebie swojego mistrza.

Przez całe życie nie mogłem wydobyć z siebie słowa dziękczynienia
Jeszcze na łożu śmierci – tak mi mówiono – czekałeś na głos ucznia
Którego w mieście sztucznych światel nad Sekwaną
Dobijały okrutne niańki.

Można domyślać się, iż lęk przed chorobą był jedną z przyczyn jego decyzji o ślubie z Katarzyną Dzieduszycką. Potwierdza to jego małżonka w rozmowie z Żakowskim: *czuł się zagrożony chorobą, bał się jej powrotów. Miał okropne lęki. Trzeba się było nim opiekować. Zaczął powtarzać: kiedy wyzdrowieję, to ty mnie opuścisz. Musiałam obiecywać, że go nie zostawię.*

Jego bliski przyjaciel, Zdzisław Najder, wspominał, że: *pod koniec lat sześćdziesiątych Zbyszek zaczął cierpieć na pojawiającą się co jakiś czas depresję, przypadłość częstą zwłaszcza u twórców, ich chorobę zawodową, jak pylica górników. Reakcją obronną jest alkohol. ...Nie tworzył zresztą w depresji, to wówczas niemożliwe, ale dopiero po wyjściu z dołka, wracając do życia, nadrabiając gwałtownie stracony czas. To wtedy powstały zarówno Pan Cogito, Raport z obłąkanego miasta, jak i rozmowa do Hańby domowej.*

Psychoza maniakalno-depresyjna, rozpoznanie jakiego dokonywali opiekujący się nim lekarze, ma swoje upadki i wzloty. W czasie tych wzlotów Herbert mógł tworzyć w dwójnasób, trójnasób kompensując to, co stracił przez okresy niemocy twórczej. Bywało jednak, iż te wzloty były nieraz bardzo kłśliwe – przynajmniej w warstwie słownej lub pisanej w postaci braku zaufania do osób z białego personelu. Zimą 1991 r. pisze w listach do swego przyjaciela, Aleksandra Schenkera, iż dopiero od momentu *wyrzucenia morderców w białych kitlach [...] mogę nareszcie po 30 latach udreki [...] wziąć życie w moje ręce z całą świadomością możliwych klęsk* [List Z. Herberta do A. Schenkera, Paryż 24 stycznia 1991].



Po miesiącu tej wolności od medycyny jeszcze raz podsumowuje swoje działania: *pracuję po osiemnaście godzin dziennie. Teraz trochę zwalniam. Wyrzuciłem lekarstwa, które czyniły ze mnie kalekę (dosłownie), a psychiatrom, począwszy od dwóch profesorów, dwóch docentów, dwóch szefów klinik i jednego chef de service (ordynatora), powiedziałem spokojnie, że są idiotami i mordercami* [List Z. Herberta do A. Schenkera, Paryż 21 lutego 1991].

NIE TYLKO DUCH, ALE I „PODROBY” SZWANKUJĄ

W 1991 r. wybiera się sam bez swojej żony do Jerozolimy. Wraca stamtąd do Paryża w stanie dość poważnym, jak to opisuje w liście do Z. Ruziewicza pod koniec czerwca tego roku. Wpierw jednak zaczyna tytułem wstępu od stwierdzenia, że: *jesteśmy w tym ciekawym okresie życia, w którym odkrywa się nerki, wątrobę i płuca, znane dotychczas z atlasów anatomicznych, aby potem przejść już do szczegółów swego aktualnego stanu zdrowia: trochę majaczyłem, bo nie wiedziałem, że mam czterdzieści stopni gorączki. Ostatnimi siłami, wiedziony instynktem samozachowawczym, poszedłem nocą do pobliskiego szpitala św. Ludwika. Na urgence mnie zatrzymali [...]. Jutro mają mnie krajać. Poprawka po niemieckim zabiegu operacji, jak się okazuje nieudany*. Nie starał się jednak zawiadomić swojej żony, gdyż chciał, aby się dowiedziała już po wszystkim. [List Z. Herberta do Z. Ruziewicza, Paryż 25 czerwca 1991 r.].

W sierpniu 1991 r. przebywa już na oddziale urologii. Swoje peregrynacje z tym związane opisuje w liście do Schenkera, iż operacja *odbyła się pięć po dwunastej i według wszelkich podręczników medycyny powinna być sekcją zwłok* [List Z. Herberta do A. Schenkera, Bayonne 16 września 1991 r.], co zresztą opisuje też w innym liście: *w ubiegły szabas [...] wyciągnęli ze mnie potwora wielkości koła samochodu ciężarowego*.

Rok 1991 był okresem, kiedy jednocześnie nasiliły się u niego zarówno objawy somatyczne, jak i psychiczne. Przebywał wtedy w Paryżu sam i siostra jego żony Teresa Dzieduszycka namówiła



go, aby zgłosił się na izbę przyjęć. Tam jednak zaczął się dość gwałtownie i awanturniczo zachowywać, więc został przewieziony na oddział psychiatryczny Maison Blanche znajdującego się jakieś półtorej godziny jazdy od Paryża. Tam dopiero odnalazła go żona. Miała nadzieję, iż wydobędzie go stamtąd i przeniesie do szpitala św. Ludwika, gdzie będzie możliwość wykonania zabiegu chirurgicznego gruczołu krokowego, co mogło według niej przynieść poprawę.

Herbert nie byłby sobą, gdyby nie podchodził z pewnym dystansem i przymrużeniem oka do otaczających go warunków przypominających bardziej więzienną celę. W pobliżu niego leżała jakaś starsza pani (*miła i znosi mi całe masy specjalnie przyciętego papieru toaletowego*). Wspomina wtedy również, że: *dla pamiętnikarza takie wydarzenia jak to, które przeżywam obecnie, przy czym Maison Blanche jest trzecią stacją mojej peregrynacji przez cierpienie i niedorzeczność, jest wprost nieocenione*. [List Herberta Z. do S. Kossowskiej, Paryż, 10 sierpnia 1991 r.].

W początku lat 90. Herbert staje się mocno zaprawionym i doświadczonego zawodnikiem na polu adaptacji warunków szpitalnych do swoich własnych wymogów. We wrześniu 1993 r. wysłał list do poety, Leszka Elektorowicza, swojego równolatka urodzonego we Lwowie, z którym razem karmił wszy. Chwali się w nim: *Potrafię sprawnie połykać sondy, oszukiwać lekarzy i pielęgniarki; palić w łóżku papierosy (metodą dym przez rękaw)*. W tym samym też dniu doświadczony pacjent śle list do swych bliskich znajomych Magdy i Zbyszka Czajkowskich, informując ich o swym anarchistycznym traktowaniu dyscypliny szpitalnej: *jako stary praktyk znoszę szpitale nieźle. Przy odrobinie wyobraźni można wykrzesać także w tych lokalach trochę życia i humoru. A oto niektóre z nich: 1. zamiana kart chorobowych wiszących na łóżkach (duża krzątanina – próba nerwów personelu i pacjentów); 2. branie białych, gorzkich, świńskich tabletek pod język i wypluwanie ich w cichym ustroniu; 3. oraz cały szereg igrów z aparatami, światłem i dzwonekami*. W trzy lata później nie było w nim już takiego ducha zadziorności, ale i jego możliwości cielesne były już mizerne. W liście z 19 lipca 1996 r. do Czajkowskich pisze:



Kochana Magdo, Kochany Zbyszku

A teraz o podrobach (tak nazywam ciało). Rozsądnie zrobiłem, że nie skorzystałem z Waszego zaproszenia (ja i rozsądek – tego jeszcze nie było), bo dzień po rozmowie telefonicznej ze Zbyszkim (dzięki Ci za piękną kartkę) miałem cholerny atak astmy, trzy dni jakby ktoś trzymał mi głowę pod wodą, ale teraz już fajnie. Mam bardzo dobrą opiekę lekarską i teraz podłączony jestem do maszyny, która tłoczy mi tlen do płuc. Piszę to wszystko, abyście wiedzieli, że mieliśmy ogromną ochotę przyjechać do Was, ale mogło się to nieefektywnie skończyć. Proszę zatem o prolongatę, bo kuruję się ostro. Dość o podrobach. Hej, strzelcy, wraz!

Trudno mu było odzwyczaić się od palenia, nawet wtedy, gdy pogarszająca się niewydolność oddychania w przebiegu wcześniej rozpoznanej astmy wymagała przewlekłej tlenoterapii.

W liście z 18 marca 1997 r. do J.J. Szczepańskiego opisuje swoje perypetie z autorytetami medycznymi: *Tylko niech Pan nie myśli, że choroba ustępuje. Jedzie Pan szybko w dół saneczkami – powiedział mi profesor [...] – a my staramy się trochę przyhamować [...]. Myślę jednak, że zostałem zwolniony (sic) karnie (sic) za palenie papierosów pod koldrą. Nie wzięto pod uwagę mojego stopnia i zastug. Oczywiście palenie pod koldrą jest niezdrowe (szybkie zużywanie tlenu) i niebezpieczne (łatwy zapłon koldry). Ale cóż myśleć o zakładzie zdrowotnym, który zmusza człowieka nad grobem stojącego do podobnych sztubackich praktyk???* [List Herberta do J.J. Szczepańskiego, Warszawa 18 marca 1997 r.].

ZBIGNIEW HERBERT I JEGO LEKARZ

Pisząc o Herbercie i jego zmaganiach na dobre i na złe zarówno z chorobą, jak i z ludźmi w białych kitlach, nie można zapomnieć o jego niemal osobistym lekarzu, którym stał się Jerzy Siwiec. Przy padł on Herbertowi do serca nie tylko z uwagi na swe umiejętności sprawnego zakładania kroplówki, ale i również ze względu na chlubną kartę z czasów stanu wojennego.



Zaczęło się to od postrzelenia przez patrol ZOMO w maju 1982 r. Jana Narożniaka, drukarza podziemnych wydawnictw. Ciężko ranny Narożniak trafił do szpitala przy ulicy Banacha, gdzie pilnowali go nieustannie funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej i ZOMO. A pomimo to w dwa tygodnie później zostaje uwolniony przez działaczy podziemnej Solidarności. Działo się to z inicjatywą i przy dużej pomocy doktora Jerzego Siwca, pracującego wtedy w tym szpitalu. To była jedna z najbardziej spektakularnych akcji ówczesnej Solidarności. Rozniosła się szerokim echem aż do ośrodka internowanych w Białoleścu, gdzie Jan Krzysztof Kelus ułożył balladę o cudownym uwolnieniu Jana Narożniaka:

Parę dni minęło
– wie już Polska cała –
że Jasio Narożniak
zrobił glinę w wała
Mieli ze szpitala
wziąć go do więzienia
ale mu pomogli
chłopaki z podziemia

Jerzy Siwiec przypłacił to jednak kilkumiesięcznym aresztem w Pałacu Mostowskich. W kilka lat później, gdy pracował jako anestezjolog, zaofiarował się z pomocą lekarską Herbertowi z uwagi na jego częste ataki astmy. Przychodził do niego dość często, nieraz kilka razy w tygodniu. Z czasem te spotkania przerodziły się w przyjaźń i do tego szczególnie, bo jak sam Jerzy Siwiec podkreśla, kiedy się: *wbijają w czyjeś ciało ostre przedmioty, to tworzy się dosyć szczególny rodzaj bliskości. W archiwum Herberta powinna być taka sesja zdjęciowa z zakładania kroplówki. Zbyszek tam odstawił cyrk: Kasia powiedziała, że robi zdjęcia, no i on nam całe swoje pierwszorzędne aktorstwo zaprezentował, miał bardzo silny zmysł komiczny. Zdjęcia wyglądają jak dokumentacja zbrodniczych eksperymentów medycznych. Mieliśmy taki pomysł, żeby na tyle, na ile się da, tę jego chorobę obśmiać, to może za dużo powiedziane, odebrać jej grozę. Gdy przychodziłem założyć kroplów-*



kę, wówczas starałem się to zrobić, jakbym wpadł ot, tak przypadkiem. I Zbyszek sobie siedział z tą kroplówką i rozmawiał. Ja coś poprawiałem, nie było namaszczenia, szpitala. Nigdy nie dał mi sygnału, że czuje się traktowany niepoważnie, bo taka była konwencja. Zbyszek w ogóle miał skłonność do practical jokes, co nie wszyscy czują.

Jerzy Siwiec jest zdania, że Herbert swoje ciało traktował w sposób dosyć brutalny. Nie obchodziła go długość życia i nie dałoby się o nim powiedzieć, że czepiał się życia za wszelką cenę albo, że perspektywa, czy będzie żył dłużej o rok czy dwa, mogła cokolwiek zmienić.

Bywając często w jego domu, Jerzy Siwiec stał się świadkiem niespodziewanego spotkania dwóch wielkich poetów: Josifa Brodskiego z Herbertem. Josif Brodski wtedy już był bardzo ciężko chory na serce, Zbigniew Herbert zaś miał również stałą duszność spoczynkową z powodu niewydolności oddechowej. Stąd było to wydarzenie gdzie *dwóch ich takich ledwo żywych siedziało*. Ale wzruszenie, jakie było udziałem dwóch twórców, słowa, które wtedy padły z obu stron, uczyniły na Jerzym Siwcu, świadku tego śniadania, niesamowite wrażenie.

OSTATNI ROK URATOWANEGO ŻYCIA

Stan Herberta pogorszył się w drugiej połowie 1997 r. z powodu zapalenia płuc i pogorszenia stanu świadomości. Konieczne stało się wykonanie tracheotomii. Wtedy jego stan się nieco poprawił i gdy odzyskał świadomość, nie mogąc nic mówić, podał swojej siostrze kartkę, na której nagryzmoilił:

„Towa[rzysz] RADOSNEJ ŚMIERCI / prezes / Zbyttek”.

W jednym z ostatnich listów do Czajkowskich, czyli Kochanych Zwierzątek, który wysłał na dwóch widokówkach przedstawiających pałac Łazienkowski oraz widok jednego z londyńskich dworców, spisany 24 października 1997 r., opisuje swój stan ducha i ciała:

U mnie ciężka walka, przedziurawili mi gardło, więc sobaczę szep-tem – efekt artystyczny nikły. Poza tym myślałem, że to już koniec i zupełnie nic mi się nie chce, bo do tego sprowadza się ten cały majdan. Trochę czasu popróbuję jeszcze. Chciałbym coś jeszcze wypuścić. Do Grecji



zabieram się, jak do dzikiego zwierza, od tyłu. Nawet napisałem trochę wierszy (jakąś 1/3 przyszłego tomu) i sporo publicystyki, z czego żyję. No i tak, uczyć się chodzić, jeśli idzie o ćwiczenia, jestem niezły. Głupio mi o tym wszystkim pisać, lecz wolę się nie zgrywać na heroja.

Długi pobyt w szpitalu ostatecznie zakończył swoją stanowczą decyzją wypisania go na własne żądanie – wciąż z rurką tracheostomią. W domu sam wyciągnął sobie tę rurkę, według świadectwa Jerzego Siwca, i *okazało się, że przeżył*. Wiedział, że mu już czasu niewiele zostało i starał się pisać i szykować swój zbiór poezji *Epilog burzy*, w którym umieścił cztery identycznie zatytułowane wiersze – *Brewiarz*. Ostatni liryk o tym tytule rozpoczyna słowami:

Panie
wiem że dni moje są policzone
zostało ich niewiele
Tyle żebym jeszcze zdążył zebrać piasek
którym przykryją mi twarz

Odwiedzają go jego przyjaciele, w maju 1998 r. pojawia się Marian Grześcak, poeta, literat, krytyk literacki, który opisuje chwile spędzone z autorem *Epilogu burzy*: *Zbyszek był w ogromnej sile. Głos duszony astmą, stale mu uciekał, ale po chwili znowu się ugłośniał. To było dramatyczne: inhalacja – papieros, inhalacja – papieros.*

Wieczorem 27 lipca 1998 r. Katarzyna Herbert wezwała pogotowie, gdyż stan zdrowia Zbyszka wyraźnie się pogorszył. Wpierw trzeba było długo czekać na przyjazd karetki, aż ostatecznie został wzięty do szpitala chorób płuc na ul. Płocką, gdzie już wcześniej się leczył. Niestety, był to okres wakacyjny i lekarze, którzy znali jego historię, przebywali wtedy na urlopie. W nocy jego stan zdrowia się pogorszył, przeniesiono go na salę reanimacyjną i podłączono do respiratora. Nie przyniosło to jednak poprawy i nad ranem nastąpiło zatrzymanie krążenia, być może na tle zatorowości płucnej. Zbigniew Herbert zmarł 28 lipca 1998 r. Zarówno żona, jak i jego siostra nie zgodziły się na badanie sekcyjne, bo zdawały sobie sprawę, iż przy jego zniszczonych oskrzelach pomoc mógł tylko cud. W czasie gdy Herbert



umierał, nad Warszawą szalała burza, jakby odtwarzając tytuł jego ostatniego tomiku *Epilog burzy*.

W wierszu *Pan Cogito rozmyśla o cierpieniu* pojawiło się kilka strof, które oddają wiernie postawę Herberta albo jego poetyckiego alter ego wobec tytułowego cierpienia. Pan Cogito radzi, aby wtedy:

bawić się z nim
bardzo ostrożnie
jak z chorym dzieckiem
wymuszając w końcu
głupimi sztuczkami
nikły
uśmiech

PIŚMIENNICTWO

- A. Franaszek. *Herbert. Biografia II Pan Cogito*. Wydawnictwo Znak, Kraków 2018.
- Z. Herbert. *Epilog burzy*. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1998.
- Z. Herbert. *Hermes, pies i gwiazda*. Wydawnictwo Czytelnik, Warszawa, 1957.
- Z. Herbert. *Pan Cogito*. Czytelnik, Warszawa 1974.
- Z. Herbert. *Raport z obłąkanego Miasta*. Wydawnictwo w drugim obiegu, 1983.
- Z. Herbert. *Rovigo*. Wydawnictwo Dolnośląskie, Katowice 1992.
- Herbert. Kochane Zwierzątka*. Listy zebrała i komentarzem opatrzyła Magdalena Czajkowska. Warszawa 2006.
- J. Siedlecka. *Pan od Poezji*. Wyd. II., poprawione i poszerzone. Wydawnictwo Fronda PL, Warszawa 2018.
- T. Sienkiewicz. *Odbicie Jana Narodziaka*. Służba Zdrowia nr 59-62, z 15.08.2005.
- J. Siwiec. *Wyznawca*. Kwartalnik Artystyczny 3/2014, nr 83, rok XXI, s. 129-138.



Piotr Wiland – profesor medycyny, pasjonat podróży, historii i literatury zaprasza do wspólnej podróży po najdalszych zakątkach świata i odkrywania również medycznych aspektów życia w tych częściach globu. Dowiemy się między innymi, jaką moc ma w sobie *kava* wypijana na Fidżi, czy *yerba mate* wydłuża, czy skraca życie, a także poczytamy o skutkach półrocznego poszczenia przez chrześcijan w Etiopii.

Autor łączy w książce swoje trzy największe zamiłowania: podróże, medycynę i historię. Zabiera nas na rzadko uczęszczane szlaki znanych lekarzy podróżników, poetów, pisarzy i laureatów Nagrody Nobla. Co odczuwał Zbigniew Herbert, gdy pierwszy raz ujrzał ziemię grecką? W jaki sposób utrzymywał swoją kondycję zdrowotną Mahatma Gandhi? Jak Albert Schweitzer realizował w puszczy w Gabonie swoje motto życiowe „Kto w życiu otrzymał wiele dobra, musi odpowiednio dużo w zamian za to ofiarować”? Ta książka to bezcenny bilet na wielowymiarową podróż nie tylko po mapie świata, lecz także w czasie.

Tłumy ludzi oczekujących na kawałek wolnego miejsca w „Al-Kaidach” mogły zapowiadać niezłą walkę o byt w przypadku korzystania przeze mnie z publicznego transportu. Można też było korzystać z wolniejszych środków transportu, jak małe wózki ciągnięte przez osiołki. Ale na drogach panuje przede wszystkim etiopski nordic walking. Trochę inaczej tylko wyglądają kije do chodzenia. Też są dwa. Jeden z nich może służyć podpieraniu się przy chodzeniu, poganianiu bydła czy owiec, a także pełnić funkcję zaczepno-obronną. Drugim kijem był zaś parasol, idealny towarzysz na porę deszczową. Gdy się idzie po kilka godzin dziennie, deszcz ma się jak w banku. A gdy warunki były wyśmienite i deszcz na głowę nie padał, oba kije ładowały na barkach i można było ćwiczyć prawidłową postawę.

Z rozdziału 9. Przez rozmodloną Etiopię

